Wspomnienia pracowników i absolwentów naszej szkoły

Moje zderzenie z dziesiątką

wspomina dyrektor szkoły - **Pan Stanisław Kowalczyk**

Po odbyciu ponadtrzyletniej służby wojskowej w jednostce specjalnej w 1956 roku ściągnąłem do Legnicy. Przez dwa tygodnie rozglądałem się za pracą na terenie miasta, by w końcu zahaczyć się w Szkole nr 4 u dyrektora Krzysztofika. Uprzednio uzyskałem zgodę na przeniesienie od inspektora Kołoszy w Złotoryi, gdzie odbywałem nakaz pracy. Inspektor szkolny p. Ziemniak przyjął mnie nawet serdecznie, lecz zatrudnił mnie „na godziny" z nadzieją na rychły etat.

W tym czasie Szkoła nr 4 pękała w szwach i tuż przed moim przybyciem „wydała z siebie" nową szkołę w Legnicy, którą była właśnie *dziesiątka*. Pod koniec roku otrzymałem przeniesienie z *czwórki* i z dniem 1 stycznia 1957 roku miałem zameldować się w Szkole nr 10 znów zamiast etatu tylko „na godziny". Gdy odchodziłem, kierownik Krzysztofik straszył mnie "babińcami" - załoga *dziesiątki* składała się z samych nauczycielek, łącznie z kierowniczką.

Po feriach zimowych zgłosiłem się do nowej pracy. Cieszyła mnie bliskość szkoły: dzwonki słyszałem będąc w domu. To był pierwszy atut - nie lubię długich spacerów. Szkoła nr 10 znajdowała się przy ulicy świętej Kingi. Od strony ulicy otoczona była wysokim murem z ładnym portalem, zwieńczonym żelaznym krzyżem, co świadczyło, że posiadłość musiała należeć do kongregacji kościelnej. Zwłaszcza, że w pobliżu znajdowała się niewielka kaplica. Plac przy szkole był wybiegiem o wymiarach zaledwie 15 x 30 m. o ziemnej nawierzchni. Tyle samo przestrzeni należało do dyrekcji MHD - szkolnego sąsiada. Główny budynek szkoły to dwupiętrowy gmach z wykorzystanym w późniejszym czasie poddaszem. Na parterze mieściła się kancelaria, gabinet kierownika i pokój nauczycielski, biblioteka, świetlica, pomieszczenie na pomoce naukowe i dyżurka woźnego. Zgłosiłem się do kancelarii, w której urzędowała jedna z nauczycielek p. Agnieszka Boryczko zastępująca chwilowo sekretarkę. Po przedstawieniu się zostałem skierowany do kierowniczki, pani Rozalii Szukis. Ciemna blondyna średniego wzrostu o przenikliwym spojrzeniu przyjęła mnie dość chłodno. Przedstawiła moje obowiązki: zastępstwo za p. Danutę Kostoci w kl. IV a oraz wychowanie fizyczne z misją organizowania zaplecza do tego przedmiotu.

Ponieważ budynek poddawany był ciągłym remontom, część oddziałów mieściła się przy ul. Lampego na parterze w dawnym I LO (obecnie Technikum Energetyczne). Budynek znałem doskonale, ponieważ sam przed laty uczęszczałem do tego liceum. Dzieci, które się tam znalazły, były bardzo rozbrykane. Raz po raz leciały szyby, klosze na korytarzach, nie mówiąc już o bijatykach między chłopcami. Trzeba było w jakiś sposób ukrócić tę swawolę. Nie posiadałem prawie żadnego doświadczenia pedagogicznego. Po miesiącu nauki w wiejskiej szkole w Brenniku zostałem przydzielony do wojska. Stosowałem więc metody, których sam nieraz doświadczyłem, będąc uczniem.

Kiedyś ostatnią moją lekcję hospitowała zastępca kierowniczki - p. Józefa Kossów. Po skończonej lekcji zapytałem ją , czy zechce jeszcze uczestniczyć w egzekucji... Odparła, że owszem i z powrotem usadowiła się w ławce. Przewodnicząca klasy Lusia Majewska wyszła przed klasę z zeszytem w ręku i odczytała: „Radomski - cztery pasy, Zieliński - dwa". Dyżurni ustawili taboret przed tablicą, winowajcy podeszli, odpiąłem pasek od spodni, wymierzyłem karę, po czym całe towarzystwo opuściło salę. Gdy szedłem z panią Kossów do głównego budynku, zapytała mnie, czy często stosuję takie metody. Odpowiedziałem, że tylko wtedy jak zasłużą. Grzecznie mi poradziła : „Panie Stasiu, jeżeli chce pan być nauczycielem, niech pan zaniecha takich metod". I faktycznie - zaniechałem. Chociaż kto wie, czy dobrze zrobiłem... .

W dalszym ciągu byłem zatrudniony „na godziny", ale wkrótce miało się to zmienić. Kiedyś, bliżej wiosny pogoda była okropna, na dworze padał deszcz, pośniegowe błoto leżało na ulicach. Miałem prowadzić wychowanie fizyczne z chłopcami klasy IV "a" i "b". Sali gimnastycznej jeszcze nie było. Nie chcąc narażać dzieci, postanowiłem na tej lekcji przeprowadzić wybory do SKS - u. Wtedy była to sekcja sportowa. Wybory przygotowałem starannie zgodnie z procedurą tajnego głosowania. Podczas czynności głosowania drzwi się uchyliły i wszedł do inspektor Józef Ziemniak w narzuconym na ramiona futrze z szalikiem na szyi Po przywitaniu popatrzył na salę i zapytał mnie, czy prowadzę lekcję języka polskiego - uczniowie siedzieli nad kartkami wyborczymi.

„Nie - odpowiedziałem - „wf". A on na to: „Pierwszy raz widzę, jak jestem inspektorem, aby ktoś tak prowadził wychowanie fizyczne". Mnie wtedy coś siekło. Mówię do niego: „Gdybym wyprowadził dzieci na boisko, a wiadomość ta

dotarła do pana, to na pewno otrzymałbym reprymendę. To po pierwsze. A po drugie, to pan inspektor nie wie, jak odbywają się lekcje wychowania fizycznego w podległych panu placówkach". Ucząc w szkole nr 4 prowadziłem lekcje wf w izbie lekcyjnej (szkoła nie miała sali gimnastycznej, była ona użytkowana wyłącznie przez I. LO). Klasa, w której odbywały się zajęcia, znajdowała się pod gabinetem kierownika. Przyszedł kierownik, popatrzył i powiedział: „Przeczytaj im pan jakąś książkę, a wf będą mieli jak się ociepli". Po tym wyjaśnieniu inspektor opuścił salę bez pożegnania.

Pomyślałem sobie, że zawód nauczyciela mam z głowy. Ale nie przejmowałem się tym zbytnio. Dyrektor Przedsiębiorstwa Budowlanego namawiał mnie, abym rzucił pracę nauczyciela i przyszedł do niego.Podczas przerwy upewniłem się, że inspektor opuścił szkołę. Poszedłem do kierowniczki i opowiedziałem jej o całym zdarzeniu.

- "Co pan narobił, panie Stasiu ? " - załamała ręce. Po tygodniu otrzymałem pełny etat. Dalej moja kariera potoczyła się gładko.

Parę słów poświęcę naszej kierowniczce. Bez niej *dziesiątka* nie byłaby tą *dziesiątką*. Była to nauczycielka wileńskich szkół. Przybyła do Legnicy jako repatriantka. Tu zajęła się organizacją oświaty w powiecie jako zastępca inspektora pana Licy.
W późniejszym czasie pracowała na terenie Legnicy, by w 1956 roku objąć kierownictwo szkoły. Wszędzie dawała się poznawać jako dobry organizator, wymagający w stosunku do siebie i podwładnych. Kto według niej nie nadawał się na nauczyciela, długo miejsca w pracy nie zagrzał. Można było powiedzieć, że była bardzo surowa i nauczycielki jej się bały. Gdy kogoś wezwała na dywanik, wychodził ze łzami w oczach.

Pamiętam taką sytuację. Po którymś okresie Ula Chmielewska miała mieć w sobotę wywiadówkę. Trzeba wiedzieć, że kiedyś rozkład materiału wpisywało się do dzienników lekcyjnych. Zabrałem jej dziennik ze szkoły, aby w domu wpisać rozkład, nikogo o tym nie zawiadamiając. Kiedy rodzice zeszli się na zebranie, ona nie mogła poinformować ich o ocenach. W szkole zrobił się ruch, że dziennik zaginął. W poniedziałek rano wchodzę do pokoju nauczycielskiego, wyjmuję dziennik z teczki i słyszę głosy: jest winowajca! Będziesz miał przeprawę z kierowniczką! Nie czekając na wezwanie sam zgłosiłem się do p. Szukis z przeprosinami. Wszedłem do niej i stanąłem koło pieca nie wiedząc nawet, jak się tłumaczyć. Ona spojrzała na mnie swymi świdrującymi oczyma i nic nie mówiąc wstała z fotela i podeszła do mnie. Chwyciła mnie obiema rękoma za uszy i przechylając głowę raz na lewo raz na prawo, rzekła „Panie Stasiu, gdybym pana dorwała w sobotę, to bym panu te uszy podrywała, ale dzisiaj to już mi przeszło". Gdy wyszedłem zadowolony z gabinetu, czekające na mnie na korytarzu koleżanki były zaskoczone reakcją kierowniczki.Nie wiem, czy to zasługa kierowniczki, czy przypadek. A może jedno i drugie.

W 1961 roku zostałem jej prawą ręką jako najmłodszy zastępca na terenie Legnicy. Przez rok czasu wprowadzała mnie w tajniki kierowania szkołą. W rok później jednak nasze władze dopatrzyły się "uchybienia" w jej pracy. Jej córki uczęszczały do Liceum prowadzonego przez siostry Urszulanki we Wrocławiu. Została zwolniona z posady kierowniczki szkoły za przekonania religijne. Rok wcześniej odznaczono ją Złotym Krzyżem Zasługi za wzorową pracę. Szkoła należała do czołówki na terenie Legnicy. Szczególnie władze partyjne nie mogły strawić, że liczące 30 osób grono pedagogiczne nie posiada podstawowej organizacji partyjnej.

Po kilku latach awansowałem na dyrektora szkoły. W ciągu 30 lat pracy w dziesiątce skończyłem Studium Nauczycielskie na kierunku Matematycznym, a także uniwersytet im. AM w Poznaniu na wydziale filozoficzno-historycznym. Podobnie jak moja prekursorka, w 1982 roku w stanie wojennym zostałem zwolniony z funkcji dyrektora szkoły przez komendanta wojennego majora Śwista z uzasadnieniem inspektora Oświaty Aleksandra Matuczewskiego : *nierealizowanie ustawy o świeckości nauczania*- w szkole zostały zawieszone krzyże.

Snuć wspomnienia można bez końca. Każdy dzień, chociaż zdaje się być podobny do innego, jednak niesie ze sobą coś niepowtarzalnego. Mile i serdecznie wspominam koleżanki i kolegów, z którymi dane było mi pracować. Był to zespół, mimo rotacji, bardzo zgrany i rozumiejący się. Jeżeli były jakieś zgrzyty, była to tylko zasługa naszej partii, która przeszkadzała w pracy, jak się tylko dało. Mieliśmy wspaniałą młodzież, która przysporzyła chwały tej szkole w licznych olimpiadach, konkursach i zawodach sportowych. Dziś, gdy spotykam niektórych na ulicy, często wracają w rozmowie wspomnienia o *dziesiątce*, która obecnie przybrała miano *Kossakówki*.

Pięćdziesiąt lat, to z jednej strony szmat czasu, w którym tyle się działo, tyle rzeczy się dokonało, a z drugiej strony, to krótka chwila, która tak szybko minęła i pozostały po niej tylko wspomnienia.

***„(...)Piękne to były lata. Tyle piątek, satysfakcji, nowe przyjaźnie.*"**

wspomina absolwentka szkoły **Pani Hanna Janusz**

Moje wspomnienia ze szkoły podstawowej, dość odległe w tej chwili, a jednocześnie tak bliskie. O mojej pierwszej w życiu szkole myślę z wielkim sentymentem. Pamiętam nawet ten pierwszy dzień, stres przed nim i wielkie oczekiwanie na nowe wyzwania. Był piękny, ciepły jeszcze poranek. Mnóstwo dzieci wystrojonych w białe i granatowe stroje. Duży gwar, okrzyki radości tych, którzy spotkali się po wakacjach. Ja i moja siostra jeszcze nikogo nie znałyśmy. Dzielili dzieci na podgrupki, czyli poszczególne klasy. Okazało się, że jesteśmy w klasie I c, której wychowawczynią była Pani Gałczyńska. Nasza Pani, tak o Niej odtąd mówiłyśmy. Biła od niej tak wielka serdeczność, a równocześnie stanowczość. Nie sposób było nie słuchać tego, o czym mówi i starać się spełniać Jej oczekiwań. Jak druga mama, zgarnęła nas pod swoje skrzydła. Dała nam tyle ciepła, przekazała wiele wiedzy. Nauczyła nas patrzeć na świat swoimi oczami, człowieka już doświadczonego. Przekazała nie tylko wiedzę książkową, ale też, jak odróżnić dobro od zła. Każdemu dziecku życzę takiej Pani na swojej drodze życia szkolnego. Mieliśmy swoją klasę, piękną i jasną. Siedziałam z siostrą w drugiej ławce w środkowym rzędzie i tak już zostało. Wielkim zaszczytem było być wychowankiem Pani Gałczyńskiej. Dlatego też, z premedytacją, została ona opiekunem klasy tym razem „c", aby zmniejszyła się ilość chętnych, ponieważ klasy „a" były zwykle uznawane za najlepsze i prestiżowe.

W mojej klasie było około 30 dzieci. Z nauką nigdy nie miałam kłopotów i uczyłam się chętnie. Mimo siostry bliźniaczki byłam zawsze przygotowana, chociaż niektórzy nauczyciele nas nie rozróżniali i teoretycznie można było dzielić wiedzę na pół. Ale między mną i siostra było takie współzawodnictwo, chyba zdrowe, aby umieć jak najwięcej. Obie musiałyśmy umieć wszystko. Potem pytałyśmy się nawzajem, sprawdzając, która umie więcej. Niektórzy pytali nas równocześnie, żeby uniknąć ewentualnego oszustwa z naszej strony. Potem nawet nas nie pytali, zakładają z góry, że umiemy. I tak umiałyśmy.

Piękne to były lata. Tyle piątek, satysfakcji, nowe przyjaźnie. Zawsze chętnie chodziłam do szkoły. Dziecko, które dobrze się uczy, pogodne, nie odczuwa lęku przed szkołą. Nie pamiętam dużych konfliktów ani stresów. To było łaskawe dzieciństwo. W klasie panowała miła atmosfera. Nasza Pani była bardzo wyrozumiała. Czasem krzyczała, ale nie na mnie. Oprócz szkoły i nauki „zafundowała" nam wiele wycieczek. Dzięki Jej żywotności i wielkiemu entuzjazmowi, my jako dzieci, zwiedziłyśmy najważniejsze miejsca w Polsce. Byliśmy w Warszawie, w Oświęcimiu, Wieliczce, w Poznaniu i Kurniku, W Trójmieście, w Krakowie. I może gdzieś jeszcze, tylko nie pamiętam. Była to lekcja pod tytułem „Poznaj swój kraj". I jak tu mile nie wspominać takiej szkoły? Gdyby mi ktoś teraz zarzucił, że jeżdżę na zagraniczne wycieczki, a nie znam rodzinnego kraju, powiedziałabym z dumą, że już w podstawówce miałam solidne podwaliny wiedzy i zwiedzanie najpiękniejszych i historycznie słynnych miejsc w Polsce.

Właśnie dzięki Pani Gałczyńskiej. Komuż innemu chciałoby się jeździć z takim „drobiem" w tak dalekie trasy? Żadna inna klasa nie zobaczyła tak dużo. Wszystko zależy od chęci i charakteru. A Nasza Pani miała charakter. Dbała o nas. Odwiedzała dzieci z kłopotami, rozmawiała z rodzicami. W ciągu dalszej nauki, w innych szkołach i na studiach, zobaczyłam, że drugiej takiej osoby nie ma. Po prostu, inni ludzie. Tyle serca i miłości miała tylko Ona. Dlatego jest Jej tak dużo w moich wspomnieniach. Byli także inni przesympatyczni nauczyciele, niektórzy, podobnie jak Pani Gałczyńska nie żyjący już niestety od wielu lat. Im wszystkim składam podziękowanie za trud włożony w edukację kilku - i kilkunastoletnich dzieci, bo wiem, jakie to trudne. Byliśmy wesołą gromadką, bez problemów. Bo jakież problemy mają dzieci? Może teraz jest inaczej. Wtedy życie było prostsze, weselsze
i bardziej kolorowe. Nie zazdroszczę obecnym dzieciom uczyć się teraz, gdzie już na starcie klasyfikuje się szkoły według rankingu osiągnięć. Za moich czasów było po równo.

A nawet gdyby nie było aż tak równo, to i tak ze względu na dobre wyniki w nauce, mogłabym należeć do grupy wyselekcjonowanej, będącej na wyższym poziomie. Brałam udział w olimpiadach - polonistycznej, matematycznej, wiedzy o sztuce. Miałam nawet osiągnięcia z pierwszym miejscem włącznie i to wielokrotnie. I nie piszę tego po to, aby wychwalać swoje sukcesy, chociaż niewątpliwie były sukcesami, ale aby pokazać, że oprócz przyjemności i zwykłego codziennego chodzenia do szkoły, można było wzbić się ponad przeciętność już w szkole podstawowej. Jak wielka była moja radość z tych osiągnięć. Jaka czułam się uskrzydlona, gdy po wygranej olimpiadzie wracałam do szkoły, a Pan Dyrektor przez głośnik ogłaszał mój sukces. Tyle było w tym zdrowej rywalizacji. Poznawanie innych dzieci, z innych szkół. I okazuje się, że to ja jestem najlepsza. Były też i dalsze miejsca, na przykład V, w olimpiadzie matematycznej, ale dla mnie to i tak sukces.

Poza nauką pierwsze wielkie przyjaźnie i sympatie. Szkolne zabawy i kolonie. Pomoc w szkolnej bibliotece, czytanie książek. Same przyjemności. Jak tu nie tęsknić za tamtym małym światem. Z perspektywy czasu patrząc, nigdy już nie było takiej beztroski w moim życiu. Pamiętam także szkolne imprezy, apele, harcerstwo. Ja z siostrą byłyśmy nawet przy szkolnym sztandarze, który dźwigał na swoich barkach kolega Rajmund. Był to chłopak słusznego wzrostu, za którym nie mogłyśmy nadążyć, ponieważ, gdy on zrobił jeden krok, to my nasze małe dwa kroki. Więc poczet sztandarowy nie miał szans iść równo, ze względu na dysproporcje wzrostu, co było nader komiczne. I oczywiście jeszcze liczne wierszyki i przemówienia, którymi władze szkoły obarczały nasze (moje i siostry) barki. Były w tym wizyty u Prezydenta Miasta i inne. Muszę się przyznać, że niezbyt lubiłam takie wystąpienia, które skandowałyśmy równocześnie, a zaczynały się od słów „Szanowny Panie ..."

W ostatnich latach szkoły przychodzili przedstawiciele szkół średnich i zachęcali nas do pójścia do szkół, które reprezentowali. Od początku wiedziałam, że chcę iść do II Liceum Ogólnokształcącego i dalej na studia. Nie miałam dylematu. Może tęskniłam już do przedsmaku dorosłości. Ale w ósmej klasie chciałam, aby czas stanął w miejscu. Żal było zostawiać znany budynek, ukochane kąty, miłych i znanych już na wylot nauczycieli. Łezka w oku się kręciła nie raz. Owszem cieszyło świadectwo z czerwonym paskiem, ale sama świadomość opuszczenia pierwszej szkoły na zawsze napawała nostalgią i wzruszeniem. Zawsze na początku roku i na koniec były kwiaty dla kochanych nauczycieli, tym razem miały to być już kwiaty ostatnie, ostatni apel i ostatni dzwonek. I tak zakończył się pierwszy ważny rozdział w moim życiu, nieodwracalnie. Można wrócić do niego tylko we wspomnieniach. Moje zawsze będą ciepłe. Składam gorące podziękowania wszystkim mnie uczącym, za ciężką pracę i serce. Jak mówi przysłowie „ Bodajbyś cudze dzieci uczył". I tak, zgadzam się z tym, że jest to ciężka praca, trudna, wymagająca cierpliwości i wiedzy. Kosztuje wiele nerwów, wymaga pracy nad sobą. Zawsze będę Was miała w mojej pamięci i w sercu.

A ja, będąc obecnie lekarzem, muszę w zamian oddać, to co otrzymałam od Was. Muszę zmagać się z ludzkim cierpieniem i chorobami, a Was stawiam za wzór cierpliwości i oddania, z którego czerpię teraz przykład.

Moja praktyka pedagogiczna w Szkole Podstawowej Nr 10 w Legnicy

wspomina **Pan Robert Wójcicki**

Jako student 4 roku biologii Uniwersytetu Wrocławskiego we wrześniu i październiku 1984 roku w SP nr 10 odbywałem swoją praktykę pedagogiczną. Jest wiele powodów dlaczego wybrałem 10 - tkę. Jeszcze jako uczeń I LO im. Tadeusza Kościuszki w Legnicy zapoznałem Panią Dyrektor Martę Chmielewską oraz jej dzieci Agatę i Jacka. Wspólnie uczestniczyliśmy w obozie wędrownym Szlakiem Orlich Gniazd w Jurze Krakowsko - Częstochowskiej. Po latach wspominam to jako młodzieńczą przygodę, pełną wrażeń. Obóz był perfekcyjnie zorganizowany.
W czasie dwutygodniowego pobytu miałem okazję poznać wspaniałych ludzi. Duże wrażenie na wszystkich wywarła niezwykła przyroda.

Opiekunem mojej praktyki studenckiej była nauczycielka biologii pani Urszula Dylewicz. Wspaniała postać, dobry człowiek. Potrafiła być nauczycielem bardzo wymagającym, a jednak życzliwym młodzieży. Potrafiła łączyć zdrową dyscyplinę z przyj
azną atmosferą na lekcjach biologii. Jako młody biolog zostałem otoczony dobrą opieką, mogłem korzystać z łatwością z dużego doświadczenia, jakie posiadała Pani Dylewicz. Pamiętam długie rozmowy dotyczące dydaktyki biologii, ale także inne rozmowy, być może ważniejsze dotyczące problemów życiowych naszych uczniów. Miałem wielką przyjemność uczestniczyć w lekcjach biologii, które prowadziła moja opiekunka. Z perspektywy czasu oceniam, że lekcje te były prowadzone na bardzo wysokim poziomie merytorycznym, w atrakcyjny sposób. Nauczycielka ta potrafiła rozbudzać przyrodnicze pasje swoich uczniów. Bardzo ciepło wspominam nauczycielkę geografii Panią Alicję Brzyszczan. Cały zespół nauczycieli szczególnie dobrze traktował młodzież. Odczuwało się bardzo serdeczną atmosferę. Młodzież była bardzo spontaniczna, można było nauczyć się od niej optymizmu i radości życia. Miałem przyjemność uczestniczyć w biwakach turystycznych, które odbywały się w Wąwozie Myśliborskim. W tamtych latach wiele osób uczestniczyło w działaniach harcerskich.

Lekcje chemii prowadziłem pod opieką Pani Marty Chmielewskiej od której się wiele nauczyłem. Podczas trwania praktyki wraz z uczniami wykonałem wiele pomocy dydaktycznych, które wzbogaciły pracownię biologiczną.

Myślę, że dzisiaj, po 20 latach pracy w I LO im. Tadeusza Kościuszki w Legnicy mogę powiedzieć, że bardzo wiele zawdzięczam nauczycielom i uczniom dawnej Szkoły Podstawowej Nr10. Właśnie tam postawiłem swoje pierwsze kroki jako nauczyciel biologii. Ważne, że była to szkoła ze wspaniała tradycją, z dobrym poziomem nauczania i serdeczną atmosferą.

Moje wspomnienia z pracy dydaktyczno - wychowawczej w Szkole Podstawowej nr 10 w Legnicy

Wspomnienia opisała nauczycielka Szkoły Podstawowej nr 10 w Legnicy.
Obecnie od 34 lat mieszkanka Wrocławia Pani **Teresa Skorenko**.

Pamiętam kolor września 1963 r. gdy spoglądam na podwórze, na złotą ulicę polskiej jesieni; w każdym ruchu liścia,

w uplecionej pajęczynie babiego lata pamiętam ten wrzesień...

„II a" to moja klasa. Jestem wychowawczynią tych zwariowanych dzieciaków: Marysi co sobie zęby od cukierków popsuła, Marcinka w jego dżinsach z Ameryki, Franka, którego na zajęciach praktycznych poraniła szklanka, i całej kolorowej reszty, której ówczesne czarno - białe kino pozbawiło rumieńców...

Powodem, dla którego tamtego wrześniowego dnia odbywała się narada wszystkich nauczycieli klas pierwszych i drugich było przygotowanie pokazu gimnastycznego na podkładzie muzycznym polskich tańców ludowych. Pokaz miał odbyć się na wrocławskim Stadionie Olimpijskim w dwudziestą rocznicę zakończenia II wojny światowej dnia 9 maja 1964 r. Pokaz opracowali i ćwiczeniami gimnastycznymi kierowali wuefiści Olga i Józef Starościakowie.

I tak oto zaczyna się długa i ciężka praca przez cały rok szkolny 1963/64. Próby odbywają się kilka razy w tygodniu na korytarzach, w sali gimnastycznej, wszędzie tam gdzie można zrobić szpagat i zatańczyć krakowiaka, kujawiaka, zbójnickiego... w występach ma wziąć udział aż 1200 dzieci (600 dziewczynek i 600 chłopców) ale po niedługim czasie widać efekty tej żmudnej, ale radosnej pracy. Dzieci poruszają się zwiewnie jak motyle, jakby były lżejsze od powietrza... Ze spoconych poczwarek przebierają się powoli w kolorowe kostiumy. Dziewczynki
w białych bluzeczkach i kloszowych spódniczkach, tenisówkach i skarpetkach; we włosy wpinają sobie biało czerwone kokardki, w dłoniach trzymają przepiękne wiklinowe koszyczki z napisem „XX lat - a w koszyczku żywy gołąbek". Strój chłopca - biała koszulka i czerwone spodenki na szelkach. Na nogach białe podkolanówki i tenisówki, a w ręku mała ciupaga góralska.

Ja i moje koleżanki nauczycielki ubrałyśmy jasny kostium (w stylu olimpijskim), jasne, sportowe buty, a na głowie każda z nas przyodziała kapelusz z rafii. Gdy stroje były ostatecznie gotowe i wszyscy zostaliśmy już motylami rozpoczęły się próby generalne. Kilka razy w tygodniu szkolnym autokarem jeździliśmy do Wrocławia na Stadion Olimpijski, a wraz z nami orkiestry dęte: ze skrzypcami, klarnetami, bębnami i trójkątem... Próby wypadały wyśmienicie, dzieci doskonale radziły sobie na murawie. No i zbliżał się Finał. Jest piękny majowy poranek 9 maja 1964 r. Ogólnopolskie uroczystości transmitowane przez telewizję rozgrywają się na Stadionie Olimpijskim. Przybywają delegacje z całego kraju na czele z I sekretarzem PZPR tow. Wiesławem Gomułką i innymi „ważnymi osobistościami" z Dolnego Śląska. Na początku - jak przystało - na część oficjalną i płomienne przemówienia, aż wreszcie i na szczęście następuje część artystyczna w wykonaniu uczniów szkół legnickich. Dzieci wychodzą na płytę stadionu. Orkiestry grają - one maszerują w takt muzyki. Z trybun dochodzą okrzyki zachwytu, owacje na stojąco.

Następuje punkt kulminacyjny, bowiem patriotyczny. Wszystkie ćwiczące dzieci siedzą w ukłonie japońskim - odpoczywają. Na trybunie przy mikrofonie stoi mała dziewczynka, która deklamuje wierszyk, którego ostatnie słowa brzmią: „nie chcemy więcej wojny"; „Chcemy żyć". Równocześnie z koszyczków wyfruwają żywe gołąbki i szybują pod niebo wysoko. chłopcy trzymają nad głowami ciupagi. Widok jest oszałamiający! Cały stadion wiwatuje z zachwytu. Oklaski i owacje na stojąco! "Niech żyją dzieci legnickie" słychać z trybun. Po tym pięknym widowisku dzieci otrzymują różne upominki. Jest też słodki poczęstunek, ale czas wracać do domu. Stadion powoli pustoszeje. Telewizja kończy transmisję. Wsiadamy do autokaru, a w Legnicy rodzice odbierają swoje pociechy. Są szczęśliwi i bardzo zadowoleni. w szkole też są przygotowane niespodzianki - książki i słodycze, ale i nauczycieli nagroda nie ominęła... Na odprawie w Komitecie Partii dowiadujemy się, że w nagrodę w czasie wakacji wyjeżdżamy na wycieczkę do NRD! Cieszymy się szalenie, bo to wielka Frajda dla nas! I tak zaczyna się wyrabianie paszportów, nerwowe oczekiwanie, ale co się odwlecze to nie uciecze...

Wreszcie jedziemy za granicę. Kilkoma autokarami zwiedzamy Berlin, Lipsk, Poczdam i Drezno. W Dreźnie odwiedzamy słynną tamtejszą galerię zachwycając się jej cudowną porcelaną i ... biżuterią. Spacerujemy po deptakach i po sklepach obuwniczych. Wprawdzie nie stać nas było na zakupy, ale drobnych upominków sobie nie odmówiliśmy. Było bardzo radośnie i humory nam dopisywały. Do Polski powróciliśmy spokojnie i bezpiecznie, cali, zdrowi i wypoczęci.

Wspomnienia

Pani **Alicji Przybył-** absolwentki z 2003r.

Kiedy wyruszam w podróż sentymentalną do czasów mojego wczesnego dzieciństwa, pierwszym obrazem, który przywołuje moja pamięć, jest szkoła podstawowa- moja dziesiątka! Kiedy tylko przechodzę obok niej przypadkiem, mam ogromna ochotę wpaść na chwilkę, bo zawsze wiem że czekają tu na mnie ludzie, którzy powitają mnie ze szczerym uśmiechem.

Jestem już prawie absolwentką gimnazjum. Przede mną poważna decyzja dotycząca wyboru szkoły. Ja jednak nie

potrafię się zdecydować. Szkoły podstawowej nie musiałam wybierać. A jednak trafiłam znakomicie! Dziesiątka to szkółka owiana tajemnica. Ma ona ogromną tradycję, z czego należy być dumnym. W moim gimnazjum jest zupełnie inaczej. Wiadomości o patronie są zaledwie szczątkowe, nikt nie świętuje jego dnia, ani nie wspomina o jego zasługach. Rzadko zdarza się by cała szkoła zbierała się na wspólnym apelu. U nas, w dziesiątce zawsze była szanowana i propagowana tradycja. Przecież jest ona bezcenna. Dzięki wielu spotkaniom, na których uczestniczyli zarówno uczniowie klas szóstych, jak i małe brzdące rozpoczynające naukę, wszyscy byli ze sobą niesamowicie zżyci.

Wspomnienia niestety zacierają się... Są jednak takie obrazy, których nie potrafię zapomnieć. Najczęściej buszując w pamięci widzę nauczycieli. O tak! Ogromny stres na lekcjach P. Kowalczyka, masa śmiechu na matematyce z panem Bogdanem Szczepanowskim. Następnie historia, ukazana w całkiem przystępnym zwierciadle, bo z Pania Dytkowską! Potem kilka prób i pod wodza pani Kasi mali aktorzy próbują zawojować szkolną scenę! Wszystko to i jeszcze więcej to obraz, którego nigdy nie zapomnę...

Wspomnienia

Pani Katarzyny Kozłowska- absolwentki z 1998r.

Pierwsza myśl jaka nasuwa mi się, kiedy wspominam „podstawówkę", jest taka, że był to czas, kiedy rozwinęły się moje zainteresowania przyrodnicze. W dużej mierze jest to zasługą nauczycieli, którzy po pierwsze sami byli świetnymi przyrodnikami, po drugie - potrafili zainteresować swoim przedmiotem. Kończąc szkołę podstawową nie miałam uprzedzeń do jakiejkolwiek dziedziny wiedzy i wiedziałam, że w każdej z nich mogę się dalej rozwijać. Ciekawe, że już wtedy myślałam o studiowaniu biologii i tak mi już zostało... .

Większość wspomnień, które mam z tamtego okresu wiąże się ze „starą dziesiątką", ponieważ dopiero, kiedy byłam w ósmej klasie przeszliśmy do nowego budynku przy ul. Jaworzyńskiej. Ogólnie warunki do nauki nie były najlepsze, a problem był głównie z lekcjami wychowania fizycznego, gdyż w zasadzie nie mieliśmy sali gimnastycznej. Jej funkcję spełniała jedna z klas dostosowana, w miarę możliwości, do tego typu zajęć, więc ogólnie było nam ciasno i nie można było sobie pozwolić na jakieś większe rozgrywki sportowe. Natomiast dość miło wspominam salę od biologii, w której stały gablotki z eksponatami, było dużo kwiatów i po wejściu, zanim jeszcze rozpoczęła się lekcja, już się czuło, że wkraczamy w fascynujący świat przyrody.

Innym ważnym wspomnieniem z tamtego okresu jest harcerstwo. Poza miłością do przyrody pomogło rozbudzić miłość do Ojczyzny. Pamiętam wiele wyjazdów, kiedy poznawaliśmy nie tylko piękne przyrodniczo zakątki naszego kraju, ale także te związane z tragicznymi wydarzeniami... . Przez kilka lat byłam w harcerskim poczcie sztandarowym, co było dla mnie wielkim zaszczytem, chociaż czasem wiązało się to z ogromną „walką wewnętrzną", zwłaszcza kiedy trzeba było zachować powagę i stać na baczność podczas apelu, a osoby stojące naprzeciw usilnie starały się nas rozśmieszyć. Pamiętam też cenne rady starszych kolegów mówiące o tym, że podczas obchodzenia placu trzeba iść przynajmniej półtora metra od stojących, aby ktoś nie podstawił „haka".

Gdy myślę o mojej ówczesnej "klasie, to niestety muszę przyznać, ze nie byliśmy zbyt zgrani jako całość, natomiast miałam kilku dobrych kolegów i koleżanek, kontakty z którymi w tamtym czasie były dla mnie ważne. Teraz widzę, że wiele przyjaźni jest danych tylko na pewien okres czasu, co nie sprawia, że są one tylko nieważnym epizodem. Obecnie mam kilku przyjaciół z „dziesiątki", ale to pewne późniejsze okoliczności sprawiły, że się ponownie spotkaliśmy.

Na koniec tych krótkich wspomnień chciałabym serdecznie podziękować wszystkim Nauczycielom, z którymi zetknęłam się podczas ośmiu lat nauki. Będę Wam zawsze wdzięczna za trud i poświęcenie. To dzięki Wam mogę teraz studiować i czerpać z tego radość i satysfakcję.

Wspomnienia

Pan **Zenon Niewolak - Banach-** absolwent z 1983r.

Szkoła Podstawowa nr 10 będzie zawsze w mojej pamięci zajmować bardzo ważne miejsce. Wiąże się to zapewne z niesłychanie przyjazną atmosferą tam panującą. Po prostu ja i zapewne moje koleżanki i moi koledzy lubiliśmy tam chodzić. Tam spotykaliśmy wspaniałych ludzi nauczycieli i rówieśników. Tam mogliśmy uczestniczyć w kołach zainteresowań oraz

przede wszystkim
w wychowaniu patriotycznym jakie dawały nam prężnie działające drużyny ZHP.
W harcerstwie odnajdywaliśmy wzorce wychowawcze i zabawę . Niezliczone rajdy, zloty, obozy organizowane przez niestrudzoną harcmistrz Martę Chmielewską były sposobem na wspaniale spędzony czas w gronie rówieśników. Niestety w późniejszych latach brakowało tego i z rozczuleniem wspominaliśmy te czasy. Ukoronowaniem naszej pracy w harcerstwie była możliwość wyjazdu na obóz harcersko-skautowski do Bułgarii (był to początek lat '80 więc wyjazdy zagraniczne nie należały do częstych). Zawieraliśmy przyjaźnie wśród młodzieży nie tylko w swojej grupie wiekowej ale też wśród starszych i młodszych . Powodowało to że praktycznie znało się większość osób w szkole. Praca w kołach zainteresowań i w samorządzie uczniowskim całkowicie wypełniały nam czas pozalekcyjny.

Nie można nie wspomnieć o wspaniałych wychowawcach, którzy nas ukształtowali Panie Kaczor, Sławińska i Chmielewska - przez te 8 lat opiekowały się nami a przede wszystkim uczyły. Szkoła ta miała dobrą renomę , większość z nas nie miało problemu z dostaniem się do wybranej szkoły średniej co z pewnością jest zasługą pedagogów z „dziesiątki"
Zakończenie nauki w tej szkole, w klasie VIII A
w roku 1983 nie było aż tak szczęśliwym dniem jakby mogło się wydawać, gdyż odchodziliśmy ze wspaniałej szkoły, żegnaliśmy się z przyjaciółmi z którymi wiele przeżyliśmy. Wśród absolwentów naszej klasy są prawnicy, lekarze, nauczyciele, politycy. Sadzę że nauczyciele SP10 wychowali nas na dobrych i uczciwych ludzi.

Bez patosu i przesady mogę stwierdzić, że szkoła ta była naszym drugim domem gdzie nie tylko się uczyliśmy ale również dobrze bawiliśmy się. Przyjaźnie zawarte w okresie szkoły podstawowej trwają do dziś, czasami się spotykamy, wspominamy. Tam przecież były nasze pierwsze sympatie, randki. Mimo że od zakończenia nauki w SP10 minęło ponad 20 lat pamiętam rozkład sal, korytarzy, nauczycieli tam uczących i myślę, że tego obrazu z dziecięcych lat nie zapomnę do końca swoich dni.

Moja przygoda z „dziesiątką" zaczęła się dość późno, dopiero w szóstej klasie. Wcześniej chodziłam do Szkoły Podstawowej nr 9 na Zielonej. W tym samym budynku mieścił się ogólniak. Po pięciu latach nauki ogólniak zawładnął całym budynkiem, a dzieciaki zmuszone były kończyć swoją edukację w dziesiątce. Nowe środowisko, nowi koledzy...nie było łatwo. Całe szczęście, że kilkoro osób z mojej dawnej podstawówki znalazło się ze mną w jednej klasie np. Ala Kabaj, Ewcia Zapędzka, Bożenka Machalska. Naszą wychowawczynią była Barbara Wytryszcz - młoda i sympatyczna pani od fizyki, która modnie się ubierała i czesała na tapirowaną „bombkę". Tym młodzieżowym stylem bycia zaskarbiła sobie od razu naszą sympatię.

Należałam do grona grzecznych i dobrze uczących się uczennic, którym nauka nie sprawiała kłopotu. No, może poza kilkoma wyjątkami. Moją piętą Achillesową od pierwszej klasy podstawówki była matematyka. Bardzo się na tym przedmiocie męczyłam, a już klasówki były prawdziwą udręką. Pół biedy, gdyby cała klasa była taka tępa jak ja. A tu nie. Były co prawda gorsze matematyczne matoły, ale mieliśmy też geniusza- Piotrusia Chorodyńskiego. To był prawdziwy mózg matematyczny, który później skończył studia i uczył matmy w ogólniakach. Dla niego, te niekończące się równania: tu dodaj, odejmij, nawias, podziel, pomnóż... to była pestka. On wiedział zawsze wszystko. Ja za nic w świecie nie mogłam pojąć działań z jedną niewiadomą. Jak to? Dlaczego mam to przenieść na lewo, a to na prawo i wtedy zmienia się znak z minusa na plus a z plusa na minus? Piotrek to wiedział a ja gapiłam się na tablicę jak krowa na malowane wrota. Matmy uczył nas prof. Szczepański. Kiedy miał swoje „złe dni" (nie wiem dlaczego) wołał do tablicy Piotra, on rozwiązywał zadania i chyba je tłumaczył. Ale ja tego nie rozumiałam.
I zanim „zaskoczyłam" (po kilku miesiącach) o co w tych iksach chodzi, złapałam pięć luf, z których ledwo, ledwo się wykaraskałam na 3 z minusem. I to dzięki wstawiennictwu mojej mamy i wychowawczyni.

Za to język polski szedł mi „jak z płatka". Wypracowania pisałam najlepsze z całej klasy- tak mi się wydaje. Szło mi to szczególnie łatwo, bo czytałam mnóstwo książek. Za to miałam kłopoty z wypowiedzią. Jak miałam wypowiedzieć się na jakiś temat, robiłam się czerwona jak burak, zasychało mi gardle. Więc się z reguły nie odzywałam. Ale czasami trzeba było otworzyć usta, bo wymagała tego nauczycielka polskiego prof. ..... Pamiętam. że kiedyś przy omawianiu Reduty Ordona (pamiętacie?: ..Nam strzelać nie kazano, wstąpiłem na działo tysiąc harmat grzmiało... itd.) musiałam opisać bitwę. Jak dziś pamiętam, że wtrąciłam zdanie:

...Wojska rosyjskie rzuciły się na wojska polskie jako robactwo na żywego jeszcze trupa... Cisza. Nagle pani .... .. jak nie buchnie śmiechem. Za nią ryczy cała klasa. Chłopaki ze śmiechu tarzają się po ławkach i rechoczą, rerechoczą. Ja stoję jak gwizdek, czerwona jak burak i nie wiem o co chodzi. Wreszcie pani..... krztusząc się ze śmiechu wyjąkała: -Marzenko, nie widziałam jeszcze nigdy w życiu żywego trupa. A więc to o to chodziło! O żywego trupa. Zaskoczyłam po czasie. Wtedy młodzież i profesorowie nie słyszeli nic o zoombies, czyli żywych trupach z filmów Georga Romero. Nic dziwnego, że się tak zaśmiewali. A mi było łyso, że tak głupio się odezwałam...

W dziesiątce udzielałam się chóralnie jako pierwszy sopran. To jest, chodziłam na zajęcia pozalekcyjne chóru. Śpiewaliśmy sobie na głosy różne fajne piosenki, np:

Nie chodź Maryś

Anie chodź Maryś,

Nie chodź Marysiu do lasa, do lasa.

Bo tam leśniczy,

Strzela i krzyczy,

Nie chodź Marysiu do lasa, do lasa.

albo:

Przy studzience siedziała,

Do wodziczki patrzała.

Ujrzała małą rybeczkę,

Co połykała wodziczkę.

Piłowaliśmy te Marysie i wodziczki po sto tysięcy razy, żeby być coraz lepszymi, doskonalszymi i dosiąść zaszczytu uczestniczenia w konkursie chórów, w jury którego zasiadał zwykle nasz pan od muzyki - prof. Podgórski. Musiałyśmy być perfekcyjne i doskonałe aby nie dać plamy i nie zhańbić imienia naszego chórmistrza. I tak ćwiczyłyśmy, ćwiczyłyśmy a występu przez dwa lata naszej męki ani widu, ani słychu. Więc nam się to śpiewanie bez perspektyw znudziło. Pod koniec siódmej klasy zostawiłyśmy bez żalu prof. Podgórskiego i jego chór.

Moje przyjaciółki, tj. Bożenka, Ewcia i Ala przerzuciły się na zajęcia sks-u z piłki ręcznej a ja, jako że byłam mizernej postury, co w ręcznej nie było raczej wskazane, przerzuciłam się na angielski w MDK. I to mi wyszło na dobre, bo później pod kołdrą słuchałam sobie radia Luxemburg i piosenek Abby rozumiejąc z angielskich tekstów co nieco.

Jak się trochę więcej podszkoliłam w angielskim, to pisywałam listy za granicę. Zwykle polowałyśmy z Alą na „Radar", czasopismo dla młodzieży, w którym najciekawsza była kolumna „Pen -pal clubu", a w niej adresy młodych ludzi z całego świata (no, może częściej z tych biedniejszych rejonów typu Sri Lanka, Bangladesz), którzy chcieli korespondować z Polakami. Dzięki „Radarowi" poznałam, ale tylko korespondencyjnie Dietera z dawnego RFN. Kiedy przyniosłam jego zdjęcie do klasy, dziewczyny były zachwycone. Dieter z Bonn miał długie, falujące włosy, aparat ortodontyczny na zębach (długo zastanawiałyśmy się z Alą co mu się błyszczy w ustach, kiedy się uśmiecha na zdjęciu), okulary w drucianych oprawkach na nosie i inteligentny wyraz twarzy. Inteligentny i oczytany był bardzo i już w drugim liście napisał po angielsku:

- Czytałem ostatnio dzieła Marksa i Engelsa- fascynujące. Zafrapował mnie zwłaszcza I tom „Kapitału" Marksa. Co myślisz na temat tego dzieła, bo wiem, że wy tam w Polsce wiele się o tym uczycie?"

Kiedy przetłumaczyłam list dziewczynom na zajęciach z prac ręcznych, stwierdziły, że on jest chyba stuknięty i żebym sobie nim głowy nie zawracała. Ja jednak postanowiłam dorównać intelektualnie Dieterowi i zgłębić „Kapitał" Marksa, aby mieć o czym pisać. Przytargałam więc dzieła Marksa z biblioteki i próbowałam je intelektualnie przeżyć.. To była męka, więc dałam sobie spokój. A zresztą, nasza korespondencyjna przyjaźń umarła. Dieter miał zapewne dość mojego angielskiego, którym posługiwałam się w stylu: „wczoraj ja dostać twój list drogi przyjaciel i ci dziękować". Do tego doszła jeszcze moja kompletna ignorancja w temacie podstawowych założeń komunizmu. Chyba go zraziłam. Ale na Dieterze świat się nie kończył. Pozostał mi jeszcze Timo Apohanoha (czy jakoś tak) z Finlandii, Penny Lee z Singapuru, Bippinickandra Michatani z Sudanu, który chciał się nawet ze mną ożenić. Jego tato miał sklep z materiałami w Omdurmanie, więc gdybym się na to zdecydowała w ósmej klasie nie byłoby źle. Tak sobie korespondowałam z tymi młodymi ludźmi po angielsku przez siódmą i ósmą klasę, aż do pierwszej klasy ogólniaka. Kiedy jednak zakochałam się, nie miałam już czasu na czczą pisaninę., bo w głowie „zakwitły mi kwiatki".